

Tej jesieni będę pisał wiersze

Jesień to specyficzna pora roku; zwiastuje rychle nadejście zimy i zbliżający się koniec roku. Z jakiegoś powodu to nie zima kojarzy się z podeszłym wiekiem (choć przecież mówi się o szronie na skroniach), a jesień. W tej konotacji zdanie: „Tej jesieni będę pisał wiersze” zaczyna nabierać pięknej dwuznaczności; czy to ta pora roku nastroi mnie poetycko? Przecież poeci jesienią tak jakby wzmagają działalność. Czy może idzie o to, że jesień życia spędzę na egzystencjalnej zadumie i pisaniu wierszy?

Dla literata Kazimierza Lindy – autora książki poetyckiej *W szranki z czasem* – oba te wyjaśnienia wydają się poprawne. Jego przykład teraz przywołuję, bo to on umieścił powyższe słowa w najnowszym swoim zbiorze wierszy.

Książki w moim mniemaniu – niestandardowej u Lindy samego, jak i w Poezji Polskiej. U Kazimierza Lindy niestandardowa, bo inaczej poeta ów dał się już doskonale poznać przez dziesięciolecia pracy artystycznej, sześć zbiorów wierszy i ponad 170 tytułów, których był redaktorem. To – oczywiście – nie wszystkie zasługi tego człowieka dla kultury, nie sposób ich wymienić, wystarczy dodać, że Pan Kazimierz został przez Zarząd Powiatu Stalowowolskiego uhonorowany tytułem „Osobowość Roku 2014”, a w roku 2017 przez Radę Miejską tytułem „Zasłużonego dla Miasta Stalowa Wola”.

Książka *W szranki z czasem* wydaje się być nietypowa nie tylko dzięki nieszablonowemu autorowi. Całość jawi mi się jako próba rozliczenia z przeszłością, której świadkiem jest czytelnik, jednak tylko świadkiem przypadkowym. Utwierdza mnie w tym przekonaniu fakt, iż w opisywanym tomie autor umieścił (doboru wierszy, jak i ich kolejności dokonał sam) utwory, których dostrzega techniczną niedoskonałość, jednak były publikowane przed laty i nawet w swej niedoskonałości stanowią wartość. Tak jest z jednym z początkowych utworów „Konkluzje” – to pierwszy publikowany wiersz Kazimierza Lindy, jaki się zachował. Jakby dla przeciwwagi i własnej obrony – na przeciwległej stronie znajdziemy „Trzy światy” – dowód na świetne opanowanie umiejętności rymowania; naturalne i nie rzucające się w oczy.

Tę ważną uwagę, którą poczynił autor o swoich wierszach podczas naszej rozmowy, przekazuję skrętnie, gdyż dzięki niej możemy śledzić progres umiejętności warsztatowych artysty na przestrzeni lat.

Czego zatem można spodziewać się po książce poety który „z niejednego pieca chleb jadał” (wiem, bo znam osobiście) i urodził się w 1945? Wszystkiego, a najbardziej niespodziewanego! Nie jest to typowy twórca okresu powojennego, nie jest naznaczony poezją okresów przełomowych Zagajewskiego, czy Barańczaka. Nawet gdy występuje z protestem, jest on parlamentarny i dystygowany. Blżej mu ze swoją twórczością do pierwszych

tomików Ewy Lipskiej, czy współczesnej Szymborskiej.

Co zatem wnikliwy czytelnik jest w stanie wyczytać u Kazimierza Lindy? Jak już wcześniej pisałem, kolejność utworów poeta ustalał sam, co znaczy, że owa konfiguracja wierszy względem siebie, czy obecność jest wyborem (nawet jeśli nie do końca uświadomionym) i także może nam wiele powiedzieć o autorze. Jeśli tak postawić sprawę, od samego początku zbioru jawi nam się on jak zdeteminowany realizmem romantyk; znów znajdujemy dwie kartki, jakby sklejone cechami charakteru autora – po jednej stronie dowód delikatności i skromności *Mój świat*, po przeciwległej – przejaw pojmowania ciężkiej pracy, przyrody, a ponadto pierwotne poczucie „ślebody” (poeta pochodzi z Podkarpacia) jak awers i rewers tej samej monety. Podobnie na zasadzie dwóch biegunów pojawiają się w tym dziele strofy wręcz banalne, powstałe pod wpływem równie banalnych inspiracji, („Jesienny dzień”) by przeciwstawić im wiersze o sprawach ważkich i tematach ważnych („Dzieci Zamojszczyzny”).

Czy świadomie tworzonych, czy nieświadomie – takich antynomii w zbiorze jest o wiele więcej, sprawiają, że książkę postrzega się jako bardzo zrównoważoną i bez zgrzytania nadmiarem i w jakimkolwiek kierunku. Na odnotowanie zasługuje fakt, że Linda świetnie operuje emocjami i choć pierwszy raz spotykam się z zapisem „droga wśród galaktyk” w kontekście czyjejś śmierci, to nie ujmuje on dramatyzmu, a dodaje:

*...pozostawiasz nas oniemiałych
wybrałeś drogę wśród galaktyk
byłeś tu z nami gdzie odchodzisz
zabierasz resztę życiorysu
na dno jeziora marzeń swoich
tyle nie zapisanych kart
zostało i nie powiedzianych słów
wciąż ich za mało choć tak wiele...¹*

W tym krótkim fragmencie można dopatrzeć się słów ekwiwalentów pustki (galaktyki / kosmos), głębi uczuć (dno jeziora). Nie sądzę, że te zabiegi poczynił Pan Kazimierz świadomie, nie jest psychologiem, ani socjologiem.

Uważam, że obrazy owe „wydrukować” może instynktownie, zatem śmiem twierdzić, że jest poetą instynktownym – zatem z tą iskrą bożą którą ludzie zwą talentem.

Dlaczego ja, smarkacz w porównaniu, usiłuję z prawie matematyczną precyzją udowodnić, że oto człowiek, zajmujący się pisaniem wierszy od nastolatka ma talent? Bo od tej chwili odbiorcy będzie towarzyszyła świadomość, iż nic nie jest przypadkowe w tej książce. To wielka odpowiedzialność tak samo po stronie pisarza, jak i czytelnika. Bo czytelnik biorąc taką książkę do ręki powinien mieć świadomość wagi słów, które czyta.

Skoro to mamy wyjaśnione, możemy wrócić do treści *W szranki z czasem*.

Autor także najpewniej zdaje sobie sprawę z ważności i doniosłości profesji, którą się para, gdyż o samym procesie przelewania słów na papier, w kontekście ich szczerości wypowiada się słowami:

*ktos uparcie stuka
w klawisze zapomnienia
wydrapuje z blizny
świeżą kroplę tęsknoty...²*

To jest dowód, że Kazimierz Linda zdaje sobie sprawę z dyskomfortu, jaki może przynieść szczerość wypowiedzi. A ową szczerość i autentyczność, czasem – wręcz bezceremonialnie – widać w omawianej książce na prawie każdym kroku.

Mamy niekiedy wrażenie, że autor stoi zdesperowany nad przepaścią, lub jest w tym zaawansowanym wieku, kiedy wypowiadający się nie dba już ani o miłość własną rozmówcy, ani co ludzie powiedzą. Bezceremonialnie podawane prawdy przez autora, wcale nie pieką mniej przez to, że „upakowane” w zgrabny stych. Wręcz przeciwnie! Prawdy o tym że:

*czas nie naprawi samotności
powraca jak australijski rogal...³*

czytelnik pozostaje zmrożony ich trafnością i bezceremonialnością, ale nie odkłada tomiku. Jest zbyt ciekaw innych prawd, spisanych przez tego bacznego obserwatora.

W większości, jeśli nie w każdym z tekstów w opisywanym przeze mnie tomie czuć tchnienie wpływającego czasu. Czy to w opisie rodzinnego domu, kiedy poeta przeprowadza nas przez własne wspomnienia i pozwala obserwować proces pustoszenia, niszczenia zębem czasu gniazda, czy to kiedy poeta analizuje bariery architektoniczne (schody, telefon komórkowy), dlatego zrozumiałym wydaje się tytuł *W szranki z czasem*.

Nie jestem jednak pewien, czy w tej poetyckiej Pan Kazimierz stoi na przegranej pozycji; pomimo nutki gorczy, która bije z kart zbioru, kolorowe, wesołe akcenty znajdujemy bez specjalnego doszukiwania się.

*Kocha się w porze gdy świat zielenieje
kiedy się pola wonnym chlebem złocą
w porze liściowej czerwieni i brązu
w czasie gdy życie chłodna biel pokryje
kocha bo jesteście bo trwasz bo istniejesz
kocha pomimo walki na poglądy
bezwzględnie kocha choć nieprzymuszenie
i chętnie chociaż odrzucany czasem
(...)
bo kocha się za nic
bez przerwy niezmiennie⁴*

czyta ciepłe strofy i jest przekonany, że ten wie co pisze, że te mądrości nie są sztuczne, wyдуманne, że one w autopsji zdobyte. I cieszy się wraz z poetą ową dojrzałą miłością, cierpi z rozstań, wraz przeżywa rozterki.

Właśnie tu upatruję największą wartość zbioru – szczerą radość bijącą ze stron *W szranki z czasem*.

Konfucusz, w jednej ze swoich trafnych myśli uczył że: „wielka mądrość, to wielki smutek”, dlatego – jeśli drogi czytelniku – odnajdziesz smutek w tych wierszach, nie doszukuj się gorczy porażki życiowej! Znam autora i nie jest zgorzkniały, ani na jotę.

Zalecam raczej zagłębiać się w ową radość, o której mówił George Lucas słowami mędrca Yody: „Nie ufaj w słowa mędrca, który się nie śmieje”.

Krzysztof Kwasiur

Kazimierz Linda, *W szranki z czasem*, Stalowa Wola 2018.